

ANTONI WIERZBICKI

Człowiek a środowisko naturalne w Stanach Zjednoczonych Ameryki Pn.

Человек и естественная среда в Соединенных Штатах

Man and natural environment in the United States

I

Środowisko naturalne nie znosi intruzów. Im intensywniejsza działalność człowieka, tym większe zagrożenie równowagi środowiska naturalnego. Stany Zjednoczone są terenem szczególnie intensywnej aktywności człowieka, który od początku zdobywania kraju usiłował panować nad przyrodą.

Powierzchnia kraju wynosi 9 363 tys. km². Liczba ludności — 213 121 tys. (1975 r.)¹, tj. średnio 23 ludzi na km². Zaludnienie rozdzielone jest jednak b. nierównomiernie. Więcej niż połowa powierzchni (ok. 59% powierzchni lądowej) jest nieproduktywna i niemal bezludna. Powierzchnia USA dzieli się następująco: lasy produktywnie 22%, lasy nieproduktywne 11%, grunty orne 19%, inne grunty (w tym łąki, pastwiska, nieużytki różnego rodzaju, pustynie) 41%, pod zabudową 7%. Powierzchnia produktywna, tj. lasy i grunty orne (lasów więcej niż roli) zajmuje mniej niż połowę (ok. 41%) powierzchni kraju.

WPLYW GOSPODARKI NA ŚRODOWISKO

Głównym czynnikiem, który obok gęstości zaludnienia wpływa na wszystkie relacje między człowiekiem a środowiskiem jest jaźń, psychika ludzka i uwarunkowana nią działalność. Ta ostatnia, w zespoleniu z naturalnymi zasobami danego obszaru i środowiskiem geograficznym, wyznacza sposoby eksploataowania i gospodarowania, rozwój technologii i pro-

¹ Liczba ludności wzrastała ostatnio o 1,3% rocznie. Według przyjętych założeń na 2020 r. (za 44 lata) ludność USA wzrośnie wówczas o dalsze 86 mln osób.

dukcji, ze wszelkimi konsekwencjami dla środowiska naturalnego. Człowiek może zatem wywierać różny stopień nacisku na środowisko, w którym przebywa i chce je sobie podporządkować. Nieskończenie liczne stosunki między człowiekiem a biosferą zawsze przekształcają, a często niszczą środowisko. Proces ten z kolei może zmieniać, niekiedy głęboko, warunki bytowe człowieka.

Zagadnienia te w Stanach Zjednoczonych rysują się często ostro, wskutek gwałtownego rozwoju cywilizacji przemysłowej, przy wielkich nakładach energii i materiałów, czerpanych i zużywanych bez umiarkowania. Stąd — największe na świecie liczby dochodu i konsumpcji na mieszkańca, kryzys energetyczny i przewidywany drugi kryzys — materiałowy, w zakresie stali. Pracowitość, ruchliwość, specyficzna aktywność w każdej dziedzinie i agresywność, przy tym — rozrzutność mieszkańców, wytwarzają warunki silnego nacisku na różne elementy środowiska naturalnego, sprzyjają szkodom.

Zasoby i bogactwa naturalne, jak również ziemię orną i lasy eksploatuje się tu intensywnie. Rolnictwo i leśnictwo, kopalnictwo i przemysł, energetyka i komunikacja, operują za pomocą potężnych środków mechanicznych, również paliw (silniki spalinowe) i masowo stosowanych środków chemicznych. Atmosferę skażają produkty ropy naftowej spalane w dziesiątkach milionów pojazdów mechanicznych, z których każdy przebiega tysiące mil rocznie (ogółem wynosi to około miliarda pojazdów rocznie). Do tego dochodzą pyły, dymy, gazy, wydzielane przez silnie rozwinięty przemysł, zwłaszcza w zasięgu wielkich aglomeracji miejskich. Gleba jest skażona przez powszechnie stosowane opryski upraw rolnych, sadów, częściowo także lasów, substancjami grzybo- i owadobójczymi. Zanieczyszczenie i obciążenie ściekami organicznymi wód śródlądowych jest tak znaczne, że według dokonanych obliczeń już w 1980 r. rozkład tych ścieków zabierze całkowitą zawartość tlenu w całym systemie rzeczonym kraju w letnich miesiącach. Wielkie problemy stanowi erozja przez wodę i wiatr. Co roku miliony ton gleby zostają wypłukiwane i wywiewane bezpowrotnie. Do tego przyczynia się masowa uprawa roślin na wielkich łącznych obszarach, niewłaściwy płodozmian, panujące cykliczne susze, a w leśnictwie — rozległe zręby zupełne w układzie łącznym, szczególnie na stokach. Lice ziemi jest obnażane i rujnowane przez górnictwo odkrywkowe, zwłaszcza węglowe, które szczególnie obecnie, w okresie rozpoczętego kryzysu energetycznego, będzie się dalej silnie rozwijać. Wreszcie tzw. odpady stałe, zwane tu „trzecim skażeniem” — skażeniem gruntu (po skażeniu powietrza i wód), stwarzają problemy trudne do rozwiązania. Ameryka jest zaśmiecona, w sposób różnorodny — od porzuconych zużytych samochodów (miliony sztuk rocznie), do papierków od gumy do żucia.

Wszystkie rodzaje zanieczyszczeń polegają na przenikaniu obcych, zwykle szkodliwych ciał do zamkniętego, cyklicznego systemu ekologicznego. Trujące lub obciążające środowisko są pestycydy, tworzywa sztuczne i inne substancje syntetyczne, nie występujące w przyrodzie. Najgroźniejsze mogą być izotopy i inne substancje promieniotwórcze. Wszystko — konsekwencje może nadmiernie rozwiniętej technologii, procesów przemysłowych. Tym gorzej dla środowiska, że procesy niweczące stabilność

biosfery zachodzą tu w wielkiej skali, zarówno w rolnictwie i innych uprawach, jak w przemyśle i transporcie USA.

Skażenie może być tak silne, że uderza człowieka. W wielkich aglomeracjach miejskich środowisko naturalne i socjalne jest tak zdegradowane, że ludzie nie chcą tam mieszkać: skażenie atmosfery, brak bezpieczeństwa (strach!), nadmiar samochodów, przeludnienie. W ciągu ostatnich lat odbywa się ruch migracyjny ludności z północo-wschodu na zachód i południe, z wielkich miast, do małych miast i osiedli, w których warunki bytowe są lepsze. Człowiek nie chce już znosić obciążeń napięcia i tumultu wielkich środowisk, które zbudował. W okresie 1970—1975 r. wędrówka ta objęła przeszło 2,5 mln osób. I tak, spośród dwunastu wielkich aglomeracji miejskich o ludności powyżej 2 mln każda, 8 aglomeracji zaczyna się powoli wyludniać.

Na infekcję środowiska i działania ludzkie z tym związane, świat zwierząt i roślin nie pozostaje obojętny. Zwierzęta giną lub migrują, zespoły roślinne niszczyją albo się degradują, coraz więcej gatunków jest zagrożonych, niektóre znikają. Nawet troskliwa ręka badacza przyrody może być intruzem. Edward W. Cronin jun., współczesny biolog amerykański, trafnie określa skutki takiej ingerencji: „Ileokroć człowiek ujawnia swe panowanie nad przyrodą, zyskuje coś na wiedzy, ale traci na duchu”. Z jakąż ostrożnością i oględnością należy działać w środowisku naturalnym.

Ekolog amerykański Farfield Osborne napisał: „Historia naszego narodu w ostatnim wieku, jeśli chodzi o użytkowanie lasów, łąk, przyrody i źródeł wody, jest najbardziej gwałtowna i najbardziej destrukcyjna spośród wszystkich opisanych w ciągu długiej historii cywilizacji”. Zatem słowa Abrahama Lincolna: „Ten kraj jest naszym, aby się nim radować, naszym, aby go chronić, naszym, aby go dalej przekazać”, nie ziściły się w całości. Może tak być musiało wobec psychiki ludzi, którzy zabrali kraj poprzednim mieszkańcom Ameryki i posiadli go za ledwie od kilku pokoleń, rozwijając się bardzo gwałtownie w społeczność przedstawicieli wielu narodów, niespokojną, nie wolną od paradoksów. Nastąpiła niczym nieograniczona eksploatacja zajętych obszarów, przy poczuciu pełnej wolności działania. Na tym tle wykrył się specyficzny styl życia, tak wyraźny przy pierwszym zetknięciu się z tym społeczeństwem. Ujawnia się on chyba przede wszystkim w nie liczącej się ze skutkami rozrzutności i nieokiełznanej swobodzie. Najtrudniejszym do rozwiązania problemem zdaje się być kryzys moralności, stąd przestępczość, która według określeń prasy amerykańskiej wznosi się spiralą i wywołuje nastroje paniczne. Korzenie tego są tak głębokie, że społeczeństwo wydaje się bezradne.

Wszystko razem wzięte nie może się nie odbijać negatywnie na środowisku naturalnym, chociaż czyni się już wiele w jego obronie.

POPRZEDNI MIESZKAŃCY AMERYKI

Zastanawiając się nad relacjami: człowiek — środowisko naturalne w USA, trzeba sięgnąć wstecz, do poprzednich mieszkańców kraju. Najstarsze ślady człowieka, Paleo-Indian, na tych ziemiach sięgają przypusz-

czalnie około 50 tys. lat. Przyjmuje się, że w ciągu 20 tys. lat niewielkie grupki ludzi wędrowały, może w ślad za stadami zwierząt, na które polowali, z Syberii do Ameryki. Szli oni przez wielki most lądowy (szerokości około 1000 mil), który łączył wówczas Azję z Alaską. Ludzie ci zasiedlali stopniowo w ciągu długich okresów czasu wielkie obszary: od Pacyfiku — do Atlantyku, a od Alaski — do Meksyku i dalej; powoli przesuwali się o tysiące mil. Nikt nie opíše tych wędrówek, ale ich wynikiem stała się obecność Indian na całym lądzie Ameryki. Długością trwania migracji tłumaczy się mnogość typów antropologicznych Indian i ich różnorodność pod względem fizycznym i psychicznym. Kierunki środowiska naturalnego są tu przy tym na rozległych obszarach tak rozmaite, że ukształtowały odmienny charakter, sposób życia, obyczaje i obrzędy różnych szczepów. Dość porównać np. Indian z terenów południowych, graniczących z dzisiejszym Meksykiem, Indian którzy zamieszkiwali północne wybrzeża Atlantyku i Eskimosów z Alaski. Ale wszyscy oni wykształcili wyrazistą, subtelną i bardzo specyficzną kulturę, doskonale przystosowaną do środowiska naturalnego, wtopieni w nie i tworzący skończoną ekologiczną całość. Czerwonoskóry człowiek niemal nie zostawiał za sobą w przyrodzie śladów. Wielką była jego więź psychiczna z całą biocenozą, której rytm, zarówno jak odwieczny rytm ciał niebieskich wyznaczały bieg jego życia. Ze spójni z otaczającą rzeczywistością wpływały jego wierzenia, obyczaje i rytuały. Nie był władcą przyrody, ale jej ogniwem. Musiała kultura Indian mieć właściwości oddziaływania na wyobraźnię, skoro znalazł się Amerykanin, Edward S. Curtis (1868—1952), który nią urzeczony, 30 lat poświęcił fotografowaniu Indian. Wykonał on przeszło 40 tys. zdjęć, wydanych w monumentalnym dziele „The North American Indian” — 20 tomów plus 20 tek, zawierających 722 zdjęcia². Uchodzi ono za „jedno z najwspanialszych arcydzieł antropologii wizualnej, kiedykolwiek wydanych”. Curtis był samoukiem, mistrzem fotografii.

Kulturze Indian, według J. K. Dixona, autora książki o nich, biali mogli przeciwstawić kult pieniędzy i wolę zdobywania. Książka Dixona, rzadki głos w Indian obronie, ma dedykację następującą: „Człowiekowi tajemnicy — ziemia mu matką — słońce ojcem — dziecko gór i równin — wierny czciciel w wielkiej katedrze świata — teraz tragiczny duch, polujący na brzegach Oceanu Zachodniego — mój brat Indianin”.

Kontakty z Indianami były już na początku 17 stulecia, gdy w 1626 r. Peter Minuit kupił od Indian Manhattan, wyspę tejże nazwy (dzisiejszy Nowy Jork). Historia podaje, że w 1676 r. została zakończona „krwawa wojna z Indianami w Nowej Anglii”. Niektóre dalsze daty: 1704 r. — Indianie atakują Deesfield, w około sto lat później w 1811 r. zostają pokonani w bitwie pod Tippecanoe. 1832 r. — odepchnięto Indian od Mississipi (tzw. Black Hawk War). 1864 r. — podstępna masakra Indian przez 900 kawalerzystów pod Sand Creek. 1876 r. — w wojnie z Siouksami klęska wojska białych zadana przez zjednoczone siły Indian pod Little Big Horn. Druga połowa ub. stulecia — to uporczywe walki, od Mississipi — w stronę Gór Skalistych, trwające około 30 lat. Walczyli osadnicy i wojsko. Autor wstępu do książki Dixona, R. L. Bunzel z uniwersytetu

² Obecna wartość tego dzieła szacują na 35 000 dol.

Columbia podaje, że zdobywanie Dzikiego Zachodu, którym Amerykanie się szczycą, było „tragicznym i haniebnym rozdziałem naszej historii”. Szczególne nasilenie pogromu Indian przez regularne wojska przypadło na lata 1876—1890 r. Bunzel pisze: „Do ulubionej strategii należało: otoczyć obóz (Indian) w nocy, wtargnąć nagle, pozabijać lub rozpędzić jego mieszkańców, a następnie systematycznie niszczyć wszystko — namioty, odzież, zapasy żywności, nawet naczynia kuchenne, a w końcu rozpędzić i wymordować konie. Ci, którzy przeżyli, byli pozostawieni na łasce zimy na równinach, chłodu i głodu, wyrzuci ze wszystkiego”. Dla wygłodzenia Indian, podają, że za wiedzą władz federalnych, niszczone bawoły. Wybijano je tak masowo, że w 1878 r. olbrzymie tzw. stado południowe, szacowane na „miliony” sztuk, przestało istnieć. Indianie próbowali bronić bawołów, trwały walki, okrutne po obu stronach. Siły były nierówne, ale bezprzykładna była waleczność Indian i zaskakująca prze-myślność oraz znajomość sztuki wojennej, nałzyta w walkach szczepów między sobą. Indianie ustępowali na zachód. Jednym z ostatnich aktów tej tragedii była pogoń Armii za oddziałem Indian na przestrzeni około 1600 mil. Po 13 stoczonych podczas tego odwrotu walkach, wódz Indian „Chief Joseph — Nez Percé”, poddał się 4 października 1877 r. Było to w Snake Creek (góry Bear Paw), 30 mil od granicy z Kanadą. Historia przekazała jego słowa: „Jestem zmęczony walką (...)”. Poszedł do rezerwatu. W kilka lat później, w 1886 r. skończyły się walki na południu, w Arizonie, z Apaczami. A wszystko działo się dawno po ogłoszeniu Deklaracji Niepodległości, w której napisano, że każdy człowiek ma nienaruszalne prawo do życia, wolności i dążenia do szczęścia. Tak została zniweczona społeczność dawnych mieszkańców Ameryki. Część ich wyginęła w walkach lub wskutek warunków, które niesie wojna, panujących przez wiele lat. Z odwiecznego na tych ziemiach ludu zostały szczątki.

Nic nie jest w stanie oddać jego ducha i zespolenia z przyrodą, czego biali przybysze pojąć nie mogli, jak pamiętne słowa wodza Indian — Seattle, szczepu Dunwanish, zwrócone do prezydenta Stanów Zjednoczonych Franklina Pierce’a z górą sto lat temu.

„Wielki wódz w Waszyngtonie przysłał słowo, że chce kupić nasz kraj. Jak możesz kupować lub sprzedawać niebo — ciepło kraju? Ta myśl jest dla nas obca. Przecież nie do nas należy świeżość powietrza i lśnienie wód. Jak możesz je od nas kupić? Każda cząstka tej ziemi jest święta dla mego ludu. Każda błyszcząca igła sosnowa, każdy piaszczysty brzeg, każda mgła w ciemnych lasach, każda polanka i brzęczący owad są święte w pamięci i doświadczeniu mego ludu (...)”.

Inna była psychika białego człowieka, który się tu mnożył i panował, ujarzmianie biosfery było w jego charakterze. Jeśli spojrzeć głębiej, określenie o „cywilizacji barbarzyńskiej”, może być często słuszne.

Minał wiek od tych wydarzeń. Dzisiaj, pozostałości indiańskich szczepów, liczebnie rozrosłe, zamieszkują około 226 rezerwatów, położonych w 29 stanach na wielkich przestrzeniach: od Alaski — do Texasu i od Kalifornii — do Nowego Jorku. Najliczniejsze rezerwaty są w stanach: Kalifornia (29), Nowy Meksyk (24), Oklahoma (22), Nevada (20) i Waszyngton (20). Natomiast największe rezerwaty mają: Arizona, Montana, Dakota Południowa, Waszyngton i Wyoming. Największy jest gigantyczny rezerwat Navajo, na pograniczu Arizony i Nowego Meksyku około 14 mln

akrów (1 akr = 0,4047 ha). Drugim co do powierzchni jest rezerwat Papago (Arizona) — około 2,9 mln akrów, trzeci — Hopi (Arizona) — około 2,5 mln akrów. W innych stanach jest ponadto 9 rezerwatów o powierzchni 1,0—2,8 mln akrów. Rezerwaty najmniejsze mają po kilkadziesiąt akrów powierzchni, minimum 10 akrów. Zsumowanie powierzchni wszystkich rezerwatów daje 55,4 mln akrów. Żyje na nich około 140 szczepów („tribes”)³, o tyluż różnych nazwach, w ogólnej liczbie około 494 tys. osób (wszystkie dane o rezerwach według US Department of Commerce, Reader's Digest 1976 Almanac, s. 964—965). Powierzchnia ogólna rezerwatów Indian jest ogromna: wynosi przeszło 400% w stosunku do powierzchni parków narodowych, a około 79% w stosunku do łącznej powierzchni wszystkich parków (tj. narodowych, historycznych, pomników przyrody oraz rezerwatów przyrodniczych i faunistycznych), wreszcie — około 2,4% w stosunku do powierzchni kraju. Obliczenia nie obejmują rezerwatów Indian i Eskimosów na Alasce, wobec braku danych o ich powierzchni.

Gęstość zaludnienia wielkich rezerwatów indiańskich jest nikła. Mieszkańcy ich mają pozornie warunki życia zbliżone do naturalnych, ale różniące się od warunków ich przodków, wskutek przekształceń szaty roślinnej, głębokich zmian fauny łownej i w ogóle degradacji środowisk. Zagadnienia obecnego bytowania Indian w rezerwach stanowiłoby odrębny, bardzo obszerny temat z punktu widzenia etnografii i socjologii.

Ogólna liczba Indian w USA (według US Bureau of Census) ma wynosić 763,6 tys. (1970 r.). Inne jednak źródła nieoficjalne podają więcej. Część tej ludności mieszka poza rezerwatami, w okręgach miejskich. Wskazują, że „została wchłonięta przez współczesne społeczeństwo”. Indianie są jednak najuboższą częścią społeczeństwa USA. Zapewne jak żadna inna wśród licznych grup ludności Indianie, poza wyjątkami, są najmniej przystosowani do współczesnych warunków bytu w kraju. Bezrobocie wśród nich jest większe wielokrotnie od wielkości średniej dla Stanów. Dochody są niezwykle niskie: dla 50% rodzin — poniżej 2 tys. dol., a dla 75% rodzin — poniżej 3 tys. dol. rocznie. Również stan zdrowotny Indian jest niski. Trapią ich m. in. choroby wirusowe, Eskimosów na Alasce — gruźlica itd.

Problem Indian w USA jest niezwykle złożony i trudny. Do nich można odnieść w pełni zdanie: „Problemem współczesnego człowieka jest konfrontacja z samym sobą” (John Ströhm). Z samym sobą i ze światem. Praca wpłynęła do Komitetu Redakcyjnego 17 maja 1976 r.

³ Według Webster's New Collegiate Dictionary, USA, 1958, „tribe” oznacza każde zbiorowisko ludzi, szczególnie będących w stanie prymitywnym lub wędrownym, którzy pochodzą przypuszczalnie ze wspólnego pnia i podlegają woźcowi.